

KWIAT NĘDZY

POWIEŚĆ.

34

(Dokończenie).

— O, pani, pani! — szepnęła Zosia zdławionym głosem. — Wiem, jak wiele ci winna jestem... Kocham cię całą duszą. Żeby ci oszczędzić najłżejszej przykrości lub zmartwienia, gotowa jestem wszystko poświęcić... i dom twój natychmiast opuścić... lecz nie żądam odemnie, bym synowca twego pokochała, gdy już kocham innego.

— Komuż serce oddała? — zapytała księżna dziwnie chłodnym tonem. — Odpowiedz szczerze. Jeśli to człowiek ciebie godny, jeśli pochodzi z uczciwej i przyzwoitej rodziny, a ty go kochasz... to związkowi waszemu sprzeciwiać się nie będę.

Zosia, mocno wzruszona, pochyliła czoło i szepnęła:

— Kocham pana Piotra Bułata.

— Ależ, moje dziecko, to człowiek nam zupełnie nieznan, równie tobie, jak mnie. Nic nie wiemy o jego rodzinie, ani o sposobie prowadzenia się, ani o jego przeszłości. Pokochałaś go, widocznie nie zastanawiając się nad tem, a co gorsza nie uprzedziłaś mnie o uczuciu, rodzącem się w twoim sercu... mnie, która jestem przecie prawie twoją matką...

To mówiąc siadła przy otwartym oknie, a w zasępionym jej wzroku wyczytała Zosia surowszy od wyrazów wyrzut i boleść głęboką.

— Więc kochasz tego młodego człowieka?

— Kocham...

— A czy on wie o tem?

— Nie, księżno pani, pan Piotr nie domyśla się nawet mojej miłości.

— Lecz, czy on ciebie kocha?

— Nie wiem. Zapewnić tylko mogę, że nie zdradziłam się przed nim z moimi uczuciami. Ukrywam je w głębi duszy i nawet tobie, moja dobrodziejo, niechym nie powiedziała, gdybyś nie zaczęła mówić ze mną o miłości hrabiego Jerzego.

— To dobrze — odparła księżna. — Zobaczą... i rozmówię się z panem Bułatem dziś jeszcze, przed jego wyjazdem.

I gestem, w którym przebijało się zniechęcenie i niezadowolenie, połączone z bolesnym rozstrojem nerwów, pożegnała Zosię, która, ucałowawszy jej rękę, wyszła z salonu zalana łzami.

W ciągu tego, co wyżej, Piotr w swoich pokojach pakował się do drogi.

Lekkie pukanie do drzwi oderwało go od zajęć. Podbiegł ku podwojom, żeby je otworzyć. Na progu ukazał się ksiądz Jan Wielogrodzki. Z ujmującą dobrocią, malującą się na jego pięknej i szlachetnej obliczu, wyciągnął obie ręce do młodzieńca, podając mu równocześnie gruby pakiet, złożony z kilku listów zastawnych Towarzystwa kredytowego ziemskiego.

— Przedewszystkiem, w imieniu mojej siostry, uiszczaam należne ci honorarium.

— Ależ to zbyt wiele, nad zastługę — rzekł Piotr zarumieniony.

— Nie, moje dziecko, zasłużyłeś zupełnie na przyslaną ci kwotę... a zresztą, niech te pieniądze staną się podstawą twego przyszłego dobrobytu, niech ci posłużą na wyjazd zagranicę dla dalszego kształcenia się w sztuce... Później, gdy już będziesz bogaty i sławny, podarujesz mi kiedy niekiedy jakiś drobny szkic na jedną z loteryj dobroczynnych, które zwykłem urządzać co roku...

— Nie dość, wielcebnym księże prałacie, że mnie tak sowskie wynagradzasz, lecz jeszcze dodajesz do wynagrodzenia wyraz, budzące w umyśle wiarę w pomyślną przyszłość artystyczną. Jakże ja ci się za dobre twoje słowa wywdzięczę?

— Przychodząc od czasu do czasu do mego mieszkania w Warszawie, za kościołem Św. Jana, gdzie cię zawsze serdecznie, jak przyjaciela powitam.

— O, wiem, że jesteś uosobieniem dobroci!

— Moje drogie dziecko, jestem tylko człowiekiem, nie sądzę zatem, abym był bez wad i ułomności.

Na twarzy Piotra malował się wielki smutek i wzruszenie, nad którym młody człowiek zapanaować umiał; dostrzegł je ksiądz Wielogrodzki i rzekł do niego ze szczerem współczuciem:

— Prawdopodobnie z żalem opuszczasz ten dom staropolski, gdzie wszyscy byli ci życzliwi... a może nawet wynosisz z niego jakieś miłe wspomnienie.

— Wywiozę z tego zacnego domu wspomnienia, które nie zatrą się nigdy w mojej pamięci, wspomnienia najcenniejsze, mające przyświecać mojej smutnej przyszłości... bo niestety, nie mam

prawa życia mego poświęcić kobiecie ukochanej. Przybyłem tu pełen nadziei, pełen ufności... a odjeżdżam z krwawym sercem i rozbitym sercem. Jestem bardzo nieszcześliwy!... Kocham... a uczucie moje doprowadza mnie do szału...

— Odgadłem to, a może poniekąd już wiedziałem — rzekł ksiądz Jan, a głos jego drżał nieco — kochasz wychowanicę mojej siostry...

— Tak... kocham ją...

— Nie myślę czynić ci stąd wyrzutów. Nie mogłeś, zbliżywszy się bezwiednie do tego anioła, nie zapalać dla niej wielką miłością. Wiem nawet, że miłość twoja jest podzielana, bo mi to przed chwilą powiedziała księżna, prosząc, byś wyjechał, nie pożegnawszy się z Zosią. Nie chciałem ci tego powiedzieć od razu, bo nie chciałem ci sprawić przykrości, ale teraz, po twoim wyznaniu, musiałem... dla jej spokoju i szczęścia. O, mój biedny chłopcze, więc tak bardzo ją kochasz?

— Niech ona o tem się nie dowie. Zaklinam cię na wszystko, księże prałacie, nie wspominaj jej o mojej miłości. Nie chcę, aby wiedziała, jak byłem szalony!... Zrozumiałwszy, co się dzieje w moim sercu, powinowatym był z Zahajcem uciekać, lecz zachwycony urokiem, jaki roztacza, nie mogłem... nie mogłem!... Kocham ją, lecz pragnę ukryć przed nią miłość moją; nie chcę obudzać w jej duszy wstrętu do takiego, jak ja paryasa, za to, że ośmielił się podnieść na nią oczy... za to, że jak szalony, ośmieliłem się ją pokochać...

— Żal mi cię szczerze — rzekł ksiądz drżącym od wzruszenia głosem, spoglądając na zegarek. — Za chwilę odjechać musisz. Powóz, który ma cię odwieźć do Lublina, czeka już przed pałacem. Mam nadzieję, że gdy powrócisz do Warszawy, gdzie czekają na ciebie koledzy i przyjaciele, gdzie wejdiesz znowu w dawny tryb życia, odzyszczesz równowagę umysłową i zapomnisz o Zahajcach... zapomnisz także o miłości, która jak barwny meteor zajaśniała nad widnokręgiem twojego smutnego istnienia.

— Księże prałacie, zapewniam cię, że już nigdy nie zobaczę się z panną Zofią... Uważam ją względem siebie za umarłą!... Niech księżna będzie spokojna, nigdy już do jej wychowanki się nie zbliżę... nigdy, nigdy!

— Wierzę twojemu słowu.

— Powiedz jej... jeśli kiedykolwiek o mnie mówić z tobą będzie... żem biedny nędzarz, urodzony w błocie ulicznem, lecz, że mam serce uczciwe... że hańba mego nazwiska, nie jest moją hańbą osobistą... że cierpię nie za własne błędy...

— Do kapłana mówiłeś, moje dziecko, a to, co mi powiedziałeś, uważam za wyznanie, uczynione na spowiedzi... Jedź już, jedź!... i zapomnij o Zosi.

— Uczynię wszystko, co będzie w mojej mocy, żeby zapomnieć...

— Bóg z tobą!... Nie żegnam cię, bo się zobaczymy wkrótce, mówię więc tylko: do widzenia. Czekać na ciebie będę za parę tygodni w Warszawie, żeby cię pocieszyć i uspokoić...

Konie rżały przed pałacową kolumnadą, bijąc niecierpliwie kopytami o ziemię.

Piotr zbiegł szybko po schodach, żeby z nikim się nie spotkać, wsiadł do powozu... a rąca para rasowych rumaków poniosła go wyciągniętym kłusem po drodze, wysadzonej stuletnimi lipami.

X.

Na gościńcu, po którym mknęły konie, odwożące Piotra na dworzec kolei żelaznej w Lublinie, posuwał się wóz, zbudowany w kształcie wagonu, ciągniony z trudnością przez dychawiczną, wynędzniałą szkapę. Wlekła się ona ledwie noga za nogą, powoli, z wysiłkiem. Zachęcał ją kiedy niekiedy do zwałszego poruszania się miły, chociaż nieco ochrypły głos dziewczęcia, idącego obok i wołającego:

— Wio, Mazurek... wio, biedaku!

Za wozem postępowała stara baba, przeraźliwie chuda i wysoka, znana nam z pierwszego tomu naszego opowiadania. Od czasu do czasu klęła wszystkimi przekleństwami, w jakie obfituje nasz język ludowy.

— Zobaczysz Sabino, że nie dojedziemy do tych zatraconych Zahajec! — mówiła zdyszana, prawie krzycząc. — Szkapsko ino lezie, a ty żałujesz baba.

— Bat tu nic nie pomoże... a zresztą nie chcę bić Mazurka, bo mi go żal. Dobrze się on wam już wysłużył.

— Więcej zjadł niż wart, bestya!... No, przemawiaj do niego po swojemu, delikatnie!... bo to był twój głupi pomysł zbaczać w te strony, żeby zatrzymać się w marnej, żydowsko-chłopskiej dziu-

rze, gdzie ani grosza nie zyszczę, ino wydam resztę, zebraną po drodze. Chciałaś koniecznie dogodzić ślepej babuni, wylegającej się w budzie, dla tego, że jej się ubrało, że tu znajdzie swoją siostrę. Oho! gdzie twoja siostra!... Może aż kędyś na końcu świata.

— Nie rajcujcie Ciupago na próżno, dojedziemy... dojedziemy. Już widać stąd pałac, a z pałacu do miasteczka niedaleko. Przecie byliśmy tu kiedyś w zimie... ja odległości dobrze pamiętam.

— Cóż mi z tego! Wiem, że tu nie zarobimy ani złamanego szelaga.

— Nie mówcie tak. Samych oficjalistów dworskich jest kilkunastu. Ręczę, że wszyscy, starzy i młodzi pospieszą do naszej budy, żeby się dowiedzieć, co ich czeka w przyszłości.

— I zapłacą zato po piątku, chyba że jaki ekonomczuk-kawaler, albo pisarz prowontowy szarpnie się na dychę, żeby potem uszczypnąć cię w ładny pysek.

Dzisiejsi ludzie, choćby i chamy, w przepowiednie nie wierzą, chociaż ślepa przepowiada czasem, jakby w księdze przeznaczeń czytała... Gdy słucham, to mi ciarki po grzbiecie chodzą, a przecie ja i dyabła się nie boję!

W budzie, ciąglej włóczędzy i trudach, z małej Sabinki wyrosła śliczna kobieta. Twarz jej śniada, szczupła, o rysach regularnych, na której znużenie i częsty głód wycisnęły swoje ślady, rozjaśniały śliczne szafirowe oczy, pełne melancholijnego wyrazu. Bujne, gęste, czarne włosy otaczały dumne czoło podwójnym splotem. Chociaż przyrodzona w łachmany, z nogami obutymi w podarte trzewiki, wyglądała jednak jak jaka zaczerowana królowa. Każde jej poruszenie posiadało dziwnie harmonijną rytmikę, pełną nieopisanego wdzięku.

Ciupaga zaś postarzała się bardzo. Pomimo wysokiego wzrostu zgarbiła się, zgięta w pałąk, jakby ciężar wieku grzbiet jej przygniottał i pochylił. A i charakter jej zmienił się do niepoznania. Stała się chciwszą niż dawniej, bardziej samowolną i despotyczną. Znienawidziła Sabinę za młodość i piękność. Ile razy na nią spojrzała, małe jej, siwe, w policzki głęboko zapadłe oczy pałały ogniem gniewu i zazdrości.

— Dojedziemy za pół godziny — rzekło dziewczę, widząc, że koń teraz, na gładkiej drodze, przyspieszył nieco kroku. — Babcia będzie mogła narzeczcie wypocząć!

— Wielka mi to pociecha! — zachichotała Ciupaga szyderczo — jakby mi o twoją babcię chodziło!

— Przecież za jej sprawą macie zarobek.

— A mało to ja na was obie wydaję?! he! co?... Gdybym miała teraz te pieniądze, które mnie wasze utrzymanie kosztuje i które Mazurek przejadł w ciągu lat ośmiu... a bestya żre owies i siano za czterech..., nie potrzebowałabym włóczyć się po świecie i cierpieć, jak cierpię!

Koń zatrzymał się znowu pod drugim pagórkiem.

— Wio... wio, Mazurek!

— Na nogach już, psia kość, utrzymać się nie może... Jak tylko dobijemy się do Lublina, zaraz go sprzedam.

— Och! nie sprzedawajcie... proszę, bardzo proszę... ja się do niego przywiązałam, ja go tak lubię!

— Lubisz go?... no, to dla tego właśnie go sprzedam.

Na błoniu, stanowiącym plac jarmacznym dziś osady, niegdyś miasteczka, między stodołami rolników-małomieszczan, zatrzymała się buda. Ciupaga pobiegła do wójta i straży ziemskiej w celu wyjednania pozwolenia na pobyt parodniowy. Dziewczyna, choć zmęczona drogą, narzuciła Mazurkowi na szyję worek z obrokiem, poczem, oparta plecami o wóz, zamyśliła się głęboko nad swoją straszną niedolą. Nagle rozwarło się małe okienko w budzie i cichy, drżący głos zawołał na nią:

— Sabinko!

— Jestem babusiu.

— Czyś sama?

— Tak. Ciupaga poszła do miasteczka. Możesz mówić śmiało...

— Strasznie jestem zmęczona drogą. Chciałabym uciec z tobą, wyrwać się z pośł przemocy tej złej kobiety, która nam tak okropnie dokucza i tak strasznie udęcza... pójść daleko, w świat... gdzie nas oczy poniosą...

— Ależ babciu, nie usłabyś nawet i wiorsty... chodzić nie możesz, sił nie masz...

— Prawda, prawda! Szalona jestem i głupia... wiek i znużenie pozbawiły mnie rozumu...

Staruszka, mówiąc to, rozplakała się rzewnymi łzami.